

„Walka motyli” H. Sudermana w Rosyjskim Studio Dramatycznym

Po raz pierwszy od paru lat na scenie R. S. D. ukazała się sztuka nie rosyjskiego autora. Fabuła: walka trzech siostr „o rękę” nieśmiałego, jak pensjonarka, młodego milionera. Zwycięża, jak to było do przewidzenia najlepsza gotowa do poświęceń Rosi. Rzecz, raczej pogodna, przenosi nas w czasy przedwojenne, gdy wierzono w trwałość istniejących stosunków, a do obowiązków „dobrej mamy” należało korzystne wydawanie córek.

Pan Sitkiewicz zaprezentował nam aż trzy piękne córki Frau Hergentheim: p. Gulanicę, p. Snieżynę i p. Maksymową. Sam obrał sobie drugą rolę komiwojażera Kesslera, swą mistrzowską grą wysuwając ją na plan pierwszy. Sitkiewicz jest świetny w każdej roli i ta uniwersalność jest jego najbardziej charakterystyczną cechą. Takiej właśnie wszechstronności wymagał od aktora Stanisławski którego uczniem jest p. Sitkiewicz.

„Zespół, jak zawsze, stanął na wysokości zadania. Szczególnie dobra była p. Miedwiedziowa w roli matki, która za cenę wszelkich poniżeń i poświęceń stara się wydać córkę bogato za mąż. P. Markow w roli starego despoty Winkelmanna stworzył kapitalną kreację. P. Aposzański miał szczególnie trudną rolę młodego Winkelmanna, z której wywiązał się zupełnie dobrze. P. Swietow — doskonały komik w stylu Buster Keatona (Wilhelm, pomocnik aptekarski), ma niewątpliwie przyszłość przed sobą. P. Barysznikow za nadto szarżował. P. Gulanicę miała tym razem okazję zaprezentowania swego talentu jako młoda wdówka, polująca na bogatego męża. Rola bądź co bądź

dość odlegająca od szablonu, zbyt często narzucanego tej zdolnej aktorce. P. Snieżyna w roli „hrabiny in spe” stworzyła świetną sylwetkę „czarującej diablicy”. O p. Maksymowej już w poprzednich recenzjach na pisałem tyle superlatywów, iż tym razem wystarczy mi stwierdzić, że grała równie doskonale jak zawsze.

Dobrą sztukę psuje nużący długi monolog Frau Hergentheim na końcu czwartego aktu (aktorzy dyskretnie ziewają, p. Markow, do którego jest zwrócony, udaje, że się martwi i stara się nie usnąć). P. Sitkiewicz powinien był to przemówienie trochę skrócić.

Sztuka jest na prawdę warta obejrzenia. Będzie wystawiana codziennie do 26 czerwca r. b.

Bohdan Gęborski

100.000 dolarów za jedno zdanie

Gazety nowojorskie donoszą o niezmiernie ciekawym procesie, który odbędzie się w najbliższym czasie w Nowym Jorku. Mianowicie jedna z amerykańskich fabryk słodyczy zaskarżyła autora scenariusza filmowego o jedno zdanie scenariusza, wypowiedziane przez Shirley Temple. W pewnym miejscu filmu, gdy znana młodziśka artystka otwiera pudełko z czekoladami skarżąccej firmy, — inna z aktorek grająca rolę jej ciotki, zadaje jej pytanie, czy nie mogłaby kupić sobie coś smaczniejszego do zjedzenia. Firma ta uważa to za sprawę jednej z firm konkurencyjnych i żąda za to „krótkie zdanie” odszkodowania w wysokości 100.000 dolarów.

Krótkie fale radiowe które gotują wodę

Okazuje się, że krótkie fale radiowe spełniają doniosłą rolę nie tylko w radiofonii, ale dadzą się użyć do bardzo prostych czynności. Wielką sensację wywołał za granicą wynalazek jednego z lekarzy wiedeńskich, który po przeprowadzeniu wielu doświadczeń zdołał zagotować wodę za pomocą fal ultrakrótkich.

Wiadomość ta dostała się do prasy, wskutek czego profesor był poniekąd zobowiązany do urządzenia pokazu gotowania nową metodą. Mianowicie włożył on do garnka z lodowatą zimną wodą rybę, po czym skierował ze specjalnie skonstruowanego aparatu nadawczego krótkie fale na garnek. Po kilku minutach

ryba ugotowała się, a woda, w której gotowała się ryba, zachowała swą pierwotną temperaturę. Następnie pomysły lekarz zamroził befsztyk i usmażył go, a lód w dalszym ciągu pozostał na befsztyku.

Inne, również ciekawe doświadczenia, poczynili uczeni niemieccy, a mianowicie za pomocą ultrakrótkich fal radiowych udało się suszyć drzewo, jednak zupełnie inaczej, niż dotychczas, bo nie grzejąc go od zewnątrz, tylko od wewnątrz. Okazało się, że drzewo wewnątrz może być zupełnie zwęglone, podczas gdy zupełnie nie widac oznak zwęglenia się drzewa na zewnątrz. Czas suszenia drzewa w ten sposób jest bardzo krótki, ale i bardzo kosztowny.

Co to jest piękność?

Kosmetyka

u ludów świata

Ślady kosmetyki mniej lub więcej spotykamy u wszystkich znanych nam ludów świata, zarówno najdawniejszych, jak i współczesnych, u stojących na szczeblu najwyższym kultury i cywilizacji, jak również i u zajmujących stanowiska najniższe, graniczące nieomal ze zwierzęcością. Ale kosmetyka jest pojmowana wszędzie różnie — jak różne są ludy. Ludy dzikie n. p. zeszpecenie twarzy uważają za coś pięknego, które wyraża się zapomocą tatuowania, na ciele skóry, lub malowania jej jaskrawymi barwnikami. Należy tu jeszcze wymienić takie zabiegi, jak spiliowywanie zębów i zabarwianie ich, przekłówanie uszu, warg i nosów, umieszczanie w otworach najróżnorodniejszych przedmiotów i ozdób.

Indowie posiadają starszą cywilizację od europejskiej, przekładają w celach kosmetycznych nie tylko uszy, ale i nozdrza, przecią

W GRÓJCIE

zaprenumerować „ABC” można u p. Józefa Zaszelewskiego ul. Skargi 21.

niejszy teatr żydowski, jaki kiedykolwiek widziano.

Warto umrzeć, by móc podziwiać tak piękny widok. I nie trzeba budki dla mechanika, obiecuje sam sobie podnieść kurtynę. I zostaje tam, by ujrzeć wszystkich żydów skaczących na parapet okopu, by podziwiać ten wspaniały sport, by zobaczyć najprędzej pana Bluma, gubiącego nareszcie pewne części garderoby, a potem „Braci Benda” idących do ataku ze spojrzeniem pełnym nieświeżości dla nas pogardy... Avec mille balonnettes dans le cul.

L. F. Céline.

gając przez nie spore metalowe pierścienie. Noszenie w uszach kolczyków, rozpowszechnione tak w Europie, jest niewątpliwie spuścizną przedhistoryczną po naszych przodkach, żyjących w stanie dzikości. W ogóle kosmetyka pomimo, że posługuje się sposobami najnowocześniejszymi, ma swój początek w czasach przedhistorycznych. Z kolei charakteryzujemy zwyczaj kosmetyczny nie których ludów świata. I tak, kobieta japońska, będąc zameżną, musi mieć twarz ubieloną ze sztucznymi rumieńcami, brwi opalone, a na ich miejsce narysować cienkie kreseczki czarne; tak samo białoszyby jest tylko dozwolona dziewczętom, mężatki powinny je barwić na czarno. Co Chinki w imię kosmetyki robią ze stopami, jest ogólnie wiadomo.

Na wschodzie muzułmańskim wśród piękności, golenie brwi jest także przyjęte. Zastępują je gruba, czarna kreska, przebiegająca nad oczyma oraz nad nasadą nosa. Tak samo bywa zabarwiona na czarno dolna powieka.

Kobieta arabska i turecka wymaga, aby paznokcie u rąk i nóg, jak również końce palców i dłonie były zabarwione na pomarańczowo.

W Persji, gdzie czarna broda uchodzi za warunek nieodzowny piękności męskiej, farbowanie jej na kolor czarny jest obowiązkiem każdego szanującego go się Persa.

Rozwój kosmetyki w Europie, rozpoczął się dopiero na dobre po wojnach krzyżowych w 13-tym i na początku 14-go wieku.

Kosmetyka wykwiniejsza najpierw przyjęła się we Włoszech, najlepiej przygotowanych do jej przyswojenia, a odtąd też Włosi do końca Wieków Średnich przodowali w tej dziedzinie.

Wiek 16-ty odebrał prymat Włochom na rzecz Francji, która to berło dzierżył dotąd.

Tejzbuna przyjaciół i przeciwników

Zydzina na front

Najlepszy środek przeciwko wojnie

„Bagatelle pour un massacre”, nowa, skierowana przeciw żydom książka Céline cieszy się niezwykłym powodzeniem, osiągając w ciągu niespełna sześciu miesięcy 74 wydania. Poniżej przytaczamy z niej wyjątek z rozdziału, w którym autor „Podróż do kresu nocy” wskazuje, że czynnikami najbardziej zainteresowanym w wywołaniu nowej wojny europejskiej jest międzynarodowe żydostwo z właściwym sobie temperamentem i humorem proponuje swoisty sposób na ukojenie wojennych zapalów Izraela.

W tłumaczeniu staraliśmy się dokładnie oddać rąbane i rubaszne zdania oryginału.

„Można przewidywać, że przyszła wojna będzie wojną na trzy odrazy: fronty i to fronty nie małe, i nie byłyby jakie, ale na trzy fronty ogromne i wspaniałe. Zyczą wam, Dzieci Bohaterów i Synowie Gallów, aby to była wojna piękna i wesoła... Niemcy! Hiszpania! Włochy! Ci, którzy umieją kopać, będą sypali okopy. Nigdy tyle długich, szerokich i głębokich rowów strzeleckich nie pochłonie tylu ludzi jednocześnie! Dla wielkiej chwały Izraela, dla Idealu Maseńskiego! Dla pomszczenia wszystkich żydów wyrwanych z dobrych posiadłości germańskich! Na chwałę Geld: Handlowych, Papierów Wartościowych i Mięsnych! Dla umożliwienia świeżego i radosnego przybycia miliona żydowskich rabusiów, których nam jeszcze brakuje i którzy schną z niecierpliwości w niedostatku ghetto.

Francuzie rodowity! Odrobinę serca! Nie usypiaj!... Czyż byłbyś degeneratem? Przypomnij sobie w tym wspaniałym, doskonale wyznaczonym momencie o swych tra-

dycjach rycerskich. Francuz nigdy nie wahał się ani chwili, gdy chodziło o obronę Ojczyzny. Dobra krew nie umie kłamać! Krew rycerska! Tylko pod gradem kul dźwiga się do góry Francuz. Jacyż to żołnierze! Mayard! Murat! La Tour d'Auvergne! Zawsze gotowi. Naprzód więc do ataku na hordy germańskie, straszliwie masakrujące żydów! Międzynarodówka! Tak, ale pamiętajcie tylko z Rosjanami, a raczej z Judeo - Mongolami. Nie pomylicie się i nie kaźcie już dłużej czekać Yubelkrantziowi... Lisowski, Levleu, Rosenbaumowi, oni się tam w Niemczech oddają najczarniejszym myślom, cierpią, nudzą się... a wy tu tymczasem urządzać czerwiele przed wejściem do trupiarni... Na cóż czekasz jeszcze bando nędzników... Możecie przecież jechać spokojnie... Znajdą się szybko następcy na wasze posady, domy i łóżka... dziesięciu następców na każde miejsce!...

Powiedział mi kiedyś Gutman: — „Zobaczysz twoich, Ferdynandzie! Nie znasz jeszcze Francuzików. Jeden dźwięk trąbki i hop! już jadą... I walą wszyscy jak jeden mąż... pierś podana naprzód, wspaniali, sztywni, prosto na wroga”.

Tak to prawda...

Tak to prawda... Bidasse, Lidou, Vandeput i dziesięć milionów im podobnych pójdą zdychać za żydów. (na każdym z trzech poległych podczas Wielkiej Wojny dwu jest chłopami, a tylko 1/1.300 żydów)... Ma rację Gutman. Wystarczy piętnaście dni propagandy przez Radio, przez prasę i trochę

fanfar, by się rzucili wszyscy ukojeniu w ogień zaporowy. Mechanizm takiej propagandy, to wprost dziecinna zabawka...

Gdyby był dyktatorem, wydałbym inne prawo... jeszcze jedno i ostatnie... Wyobraźcie sobie, że znam dobry sposób na natychmiastowe uspokojenie i wyjaśnienie międzynarodowej atmosfery... Oto tekst mojego dekretu w trzech jego prostych i krótkich artykułach...

1) Wszyscy żydzi zamieszkujący nasz kraj w wieku od 17 do 60 lat, pół i ćwierć żydzi, mieszańcy z żonami z żydówkami oraz wojak-mularze zostają w chwili wybuchu wojny przydzieleni wyłącznie do jednostek piechoty walczącej w pierwszej linii. Żadne kalectwo, żaden motyw do odroczenia wcielenia lub przeniesienia do rezerwy nie będzie uznawany w stosunku do żydów lub do osób, prawnie do nich upodobionych. Nigdy i w żadnym wypadku ten rodzaj wojakowskich nie będzie mógł przekroczyć stopnia kapitana.

2) Żaden żyd nie będzie mógł osiągnąć innego przydziału, a w szczególności nie będzie mógł być: lekarzem, sanitariuszem, artylerzystą, saperem, kancelistą, lotnikiem, komisarzem politycznym, intendentem, szoferem, tajnikiem czy ordynansem, a to w myśl założeń, że każde cnięcie choćby o 20 metrów od linii ognia staje się dla żyda znakomitą kryjówką, okazją do puszczania w ruch swych stosunków, pierwszym krokiem do dania drapak, zadekowania się w łóżach, w biurach ministerium wojny.

3) Wszelkie naruszenie powyższych przepisów karane będzie śmiercią, bez żadnych dyskusji i protestów.

A więc wszyscy żydzi do pierwszych linii! Żadnych bzdurstw, żadnych kruczków. Do pierwszych linii! I tak przez cały czas wojny! Żaden przywilej nie będzie dopuszczalny. Ranni żydzi nie będą nigdy ewakuowani z pola bitwy... Będą się leczyć na polu bitwy. Będą zdychać, jeśli trzeba na polu bitwy... Będą użyżniać pola bitwy. Trzeba się zawsze strzec żydów, nawet zmarłych.

Ponieważ utworzenie Sowietów oznacza wojnę, więc dobrze... Niech będzie wojna... A ponieważ sprawa, jak należy przypuszczać, przybierze zły obrót, więc nie trzeba, aby nasi żydzi się wyknęli. Trzeba, by zapłacili za całą szkodę, trzeba, by zakosztowali aż do dna. Trzeba, by się stali już teraz i natychmiast zakładnikami, by zagwarantowali swą skórą ową emancypację ludzkości o której stale mówią. Zobaczymy, jak się taka rzecz pitrasi.

Ponieważ żydzi są naszymi panami, ponieważ reprezentują sól ziemi i światło świata, ponieważ mają uczynić ziemię krainą szczęśliwą, więc oto czas przystąpić do dzieła! Niech idą do pierwszej linii i na Boga żadnych uchybień! Oto nadchodzi moment, by nas nasylić wspaniałym widokiem! Chcę ich ujrzeć, zdobiących pierwsze linie okopów, krainą szczęśliwości. Oto wspaniały spektakl: najpięk-

(Dokończenie obok)

ARMIN O. HUBER

45)

LUDZIE I ŻYWOŁY

Powieść współczesna z Dzikiego Zachodu

Inż. Kościeszka po podsłuchaniu rozmowy Old Billa z Loni po jej zaśnieciu opuszcza pokój. W rozmyślaniach na temat rozmowy walczą w nim poczucie obowiązku spełnienia wziętych na siebie zadań i niechęć do niszczenia przyrody. Zwycięża pierwsze. Inż. Kościeszka z energią przystępuje do pracy, chcąc w niej zużyć swój wynalazek.

— Widzi pan, panie... panie... A bodaj cię diabli wzięli! Pańskie nazwisko jest nietrudne, a ciagle go zapominam! Zaraz, co to miałem powiedzieć?... Aha! Zdaje się, pod tym względem dosiłem już do zgody! Każdy będzie robił swoje: pan będzie budował, a ja będę się zajmował swoimi sprawami... Więć pan twierdzi, że na trzydziestego listopada zapora wodna i elektrownia będą gotowe, tak?

— Tak. I prąd też będzie!

— Doskonale! To chciałem usłyszeć od pana.

Jack Bogey obszedł plac budowy, potem udał się na przystań, wsiadł z dwoma marynarzami do motorówki, którą tymczasem spuszczano na wodę z parowca towarowego, i odpłynął, zanim pracownicy zorientowali się, kto to był właściwie.

Patrząc za nim, „Pasza” powiedział:

— Szkoda! Tego gościa warto byłoby trochę rozgryźć...

Słyszając to, Kościeszka ruszył ramionami.

— Za późno! Mam wrażenie, że nieprędko tu się pokaże. Kazał potajemnie przenieść do swojego domku skrzynię z bronią i z nabojami.

— Co za nonsens! — pomyślał. — Gdyby to nie była cudza własność, wrzuciłbym wszystko do morza...

Natomiast cieszył się bardzo z reszty ładunku. Jack Bo-

gey nie żałował pieniędzy: przysłał sumiennie materiały i narzędzia, zamówione przez kierownika robót, a oprócz tego dodał komplet przenośnej kolejki polowej, która w następnym okresie robót była ogromnie potrzebna. Sprawę wynagrodzenia uregulował ku wielkiemu zadowoleniu Kościeszki z niezwykłą szczerością. Pełnomocnik Amerykanina, który pozostał jeszcze na pokładzie parowca towarowego oświadczył, że do trzydziestego listopada dla wszystkich robotników dzienna stawka jest podwojona, a za każdą godzinę nadliczbowa, ustalono mnożnik potrójny.

Kościeszka pośpieszył obwieścić tę nowinę robotnikom, i w obozie zapanowała wielka radość.

X.

Rozważając wszechstronnie odwiedziny Jacka Bogey'a, Kościeszka doszedł do przeświadczenia, że były one nader korzystne. Innymi słowy wszystko byłoby dobrze, gdyby nie groźna przyszłość.

Najwięcej podświadomej przykrości sprawiała mu historia z Loni Jansen.

Nie widział jej od pamiętnej nocy. Dopiero na trzeci dzień po wyjeździe Jacka Bogey'a ukazała się na wysokim brzegu osuszonego żółtych rzeki. Stała długo, patrząc na budowy, kipiący wartkim życiem.

Raz po raz dzwoniły telefony.

— Tu jedenasty odcinek!... Kogo?... Nie, pan inżynier poszedł przed chwilą na piątkę!

Wszędzie była konieczna obecność kierownika olbrzymiej wspaniałej budowy.

Robotnicy nawoływali się wesoło, śpiewali. Ogromny zóraw mechaniczny sięgał ramieniem prawie do Loni Jansen. W powietrzu fruwały bloki kamienne, belki, żelazne sztaby. Gwizdały małe parowozy kolejki polowej, grzmiąły młoty, warczały motory, a wszystko pokrywał czysty, wibrujący dźwięk stali.

— Pan kierownik... pan Kościeszka... pan inżynier! — rozlegało się dokoła.

A Kościeszka stał w tym momencie na nowym rusztowaniu

żelaznym, na wysokości trzydziestu metrów nad kottującą się wodą. W czapce zsuniętej na czubek głowy, na szeroko rozstawionych nogach, uśmiechnięty, czuł się w swoim żywiole. Wydawał się z daleka wysoki i potężny.

Wziął do ręki trzeszczącą gałąz chłochka maszynę do nitowania, sam założył kilka rozżarzonych nitów, które dwaj robotnicy podciągali i uszczelniali. W przerwach stąd wydawał rozkazy, niemal jednocześnie kłął, śmiał się, krzychał gniewnie...

Loni Jansen nigdy go takim nie widziała. Podziwiała go wbrew woli.

— Hallo, panno Jansen! — zawołał tak głośno, że dziewczyna usłyszała w tym piekielnym hałasie.

Oddał robotnikowi maszynę do nitowania i udzielając mu jakichś wskazówek, zaczął się spuszczać na dół: ześlizgiwał się szybko po pionowych belkach, skakał z jednej poprzecznej na drugą ze zręcznością małpy, utrzymując równowagę wyciągniętymi w bok ramionami, przebiegał po wąskich kładkach, a gdy mu pozostało trzy metry, skoczył po prostu na ziemię.

— Znalazł dla mnie czas... nawet teraz... powiedziała cicho dziewczyna, widząc, że wspinając się, podąża ku niej po strumieniu zbrozu.

Uciekały najchętniej, nieczym zawstydzona pensjonarka.

— Dzień dobry, panno Jansen! — uklonił się Kościeszka i usiadł obok niej na dużym głazie. — Rzadki gość!

— Tak. Wuj buduje nowy domek w górach, a ja mu pomagam, jak mogę — odparła poważnie.

— Ładnie jest dziś, prawda? — zapytał i zaraz pomyślał, że to zdawkowe zdanie może być przyjęte za wyraz zakłopotania.

— Tak — odpowiedziała. — Ten zakątek nad fiordem jest w ogóle uroczy. Ale przed budową zapory wodnej tu było ładniej. Znacznie ładniej.

Pominał milczeniem te słowa. Po krótkiej przerwie podjął:

— Gdzie pani stale przebywa, panno Jansen?

D. c. n.